

10 stron. – Fragment z Don Kichota w nowym przekładzie
Cena 50 groszy

CYRULIK WARSZAWSKI

N 21 (208) **GOŁI W KAŻDĄ NIEDZIELĘ 5 R**

SMIEJMY SIĘ! KTO WIE CZY ŚWIAT POTRWA JESZCZE TRZY TYGODNIE? (BEAUMARCHAIS)

Jak należy rozumieć przyjaźń niemiecko-włoską:



Po włosku

rys. J. Zaruba

KRYSTYNA CÓRKA ALFONSA

(Historja choć prawdziwa, lecz wielce straszliwa).

S. Dygasowi,
Zbrodni mej świadkowi
Spowiedź tę poświęca
Autor i morderca.

Działo się to Roku Pańskiego MC. M.XXIV. w miejscowości Kończyny Dolne, gdzie był zatrudniony jako kancelista pana rejenta. Pannę Krystynę Gąsiorek, córkę Alfonsa i Korduli z Piesiów Gąsiorek, osiemnastoletnie, przemile dziewczę, poznałem wkrótce po przyjeździe na fife'ie u aptekarzostwa Balasek. Skoro mnie paniencie przedstawiła, Krystyna wskazała mi miejsce obok na kanapie, poczem zmruczywszy rozkosznie myślenie ślepka rozpoczęła: — Pan słysze ze stolicy, z syreniego grodu — uśmiechnęła się rozkosznie, ukazując dwa czarne ząbki w białej, piegawatej, okrągłej buzi niczem dwie czarne jagódki na talerzu smietany — pan młodzieńcu światowy, niechybnie birbant wielkomięski, konieser Europy, podczas, gdy my pędzimy tu szary, jednostajny, niczem nie pajęcza habiego lata żywot ubożuchny. „Tu dzień biały, tu miasteczko, przy tobie niema żywego ducha“, jak mówi wieszcz. Przeto dobrze się stało, iż pan do nas zawitał, choć domyślałem się, że od niechęcia — ciągnęła obejmując dłońmi pulchne łokcie, dzięki czemu i tak wcale obficie jej piersi podniosły się, jak poziom ciepłej wody w szklance, kiedy w nią włożyć pędzel do golenia i będzie pan, tuzę, uprzejmie nas salonować, bo inaczej wnyki, oj wnyki. — Pogroziła mi paluszką świecącym minimalną dozą tłuszczu, czyli t. zw. potu. — Ej, ej, co za bukiet słówek, skrzywiłem się we wnętrzu. — Pan ma, dostrzegam, czoło zachmurzone — zauważyła Krystyna, córka Alfonsa — wyjdźmy do ogródka, tam w alejkach, piaseczkiem złościstym wysypanych, będziemy mogli nieco swobodniej gawędy swe toczyć. — Dobrze, wyjdźmy — jęknąłem myśląc, że na świeżym powietrzu nie tak łatwo przyprowadzi mnie o zemdle nie ten koczodon w muslinowej sukience noworodka. — Czy szybował pan kiedy podniebnie awionem? — zagadnęła mnie nagle Krystienka. — Pięć razy na godzinę — palnąłem myśląc jednocześnie, jak ja też długo wytrzymam. Spojrzała mi w oczy z niedowierzaniem. — Hajże, z mego pana serdenki, widzę, figlarz, figlarz setny — przyznała się. — Ale! Wie pan co? Spłynęła mi zgrabna myśl do główki, tak zgrabna, że aż zmuszona ja splasnąć rączkami — klasnęła w dłonie — zabawimy się kto kogo wyścignie. Od

tej kreseczki na dany hejnał bieć pocznijemy ile mocy aż do tej prastarej wierzby rosochotej, szumiącej ze swą sąsiadką cichym rozhoworem, kto zaś pierwszy dobieży, ten będzie uciekał, a drugi go ścigał, przez co rozpocznie się mała ganiańka. A zatem może, na wyprzódki! Na wyprzódki! — Zgrzytnąłem zębami, jak murzyn, któremu grand hiszpański rozkazuje wpakować w pośladek rozpalony do czerwoności parasol, ale obliczam: jak będzie biegać, przestanie gadać, dam jej uciec i będę miał święty spokój. Gotowy stanąłem na starcie. Ruszyliśmy. Udałem, że nie mogę jej nadążyć. Tymczasem Krystienka biegła cały potęgą uroczej t. zw. wiochny. Ledwie też znalazła się przy „rosochatej wierzbie“, dotknęła pnia na znak, iż osiągnęła metę, poczem zawołała: — No cóż? Czym nie chybka? W paru susach, nielicznych hopkach przebieżałam. A teraz hejże, w goniawkę żwawo, żywo, chyżo! — I z temi słowy poczęła skakać przez krzaczki niczem samica kangura, niosąca w torbie siedmioro małych tudzież dobrą familję w osobach dwóch bratanków i niedołącznej ze starości babki. Ja naturalnie nie mogłem jej dogonić. — Ach, ty nieboraczkę — piszczała Gąsiarkówna — niełatwo mnie w sidła złowić, wiem to, wiem. No, zlituj się już nad panem, niebożatkiem. Proszę, oto jestem — sprowokowała mnie do przychwycenia zbliżając się na odległość ramienia. Udałem, że się potknął, podczas gdy ona zwinnie jak ten ptaszek ołowiany, jak ten mysikrólik, lelek kozodój, czy inna psiakrew! sarenka uskokczyła w bok. Znowuż jej nie schwyciłem. Chwała Bogu. Ale Krystynie żal się mnie zrobiło, odezwał się więc: — No, zakończmy już to swywolne granie, nie chyci mnie pan, to pewna. Daremna praca, próżny trud, jak rzecz poeta. — Podeszła do mnie i szliśmy razem w milczeniu. Krystyna zmęczona sapłała, jak chrestna matka nosorożca przyczem piersi jej podnosiły się na podobieństwo tłoków w parowej maszynie systemu Aroreyet and Co. Po chwili wytchnienia schyliła się i podniosła jakiś kamień. — O, ten kamuszek to krzemień, czyli kwarc? — spytała podsuwając mi brudny okrucuch pod nos. Z kolei mnie wpadł genialny pomysł. — Rodzaj skały — odparłem — poznaje się najlepiej po jego twardo-

ści. — To niechże pan zbada tę twardość. — Służę. — Wyjąłem jej kamień z ręki, poczem z przekonaniem trzepnąłem nim zmore po łbie. Krystienka zarumieniła się i spuściła skromnie oczęta: — Zaraz poznać, iż z pana bałamut ładaco, ledwie pan młode zapoznał dziewczę, już je pan kokietuje, flirtuje. Zdębiałem. A ręka wznie- siona do ponownego ciosu, opadła mi bezwładnie.

* * *

Od tego czasu gdziekolwiek się nie zjawiałem spotykałem zawsze na swej drodze jedynaczkę małżonków Gąsiorek, a nawet, gdy nigdzie nie wyruszał, przychodziła pod moje okno w wianuszkach bławatków na głowie, by jak mówiła: „odciągnąć mnie nieco od żmudnej pracy na przasny chleb powszedni“, choć wiedziała, iż „bez pracy niemasz kołaczy“. Wpadłem w dziwne chorobliwe podniecenie. Nie mogłem spokojnie ani jeść, ani spać, ani spełniać swych urzędowych obowiązków. Dla klientów stałem się opryskliwy, dla szefa arogancki. Wszystko wypadło mi z rąk, nie wiedziałem już co robić: podania chowałem do kasy, a na pieniądze nalepiałem stemplowe znaczki, papier listowy kładłem w salonie na fortepianie, a nuty wkręcałem w maszynę do pisania, kanarkowi do klatki syptałem drobną monetę, a siemieniem wypłacałem interesantom resztę. W nocy stukałem głową ścianę i wyłem do księżycy, a wraz ze mną wszystkie psy z całej okolicy Kończyn Dolnych. A wszystko to przez Krystynę, córkę Alfonsa. Jednak tylko myśl jasno tkwiła mi w rozpalonej mózgowicy, jeden widziałem dla siebie ratunek: zamordować, albo zwarzyć! Myśl ta dojrzała we mnie powoli, ale stanowczo. Ale nieodwołalnie. Aż wreszcie, o pewnej ciemnej północy podrobionym kluczem, dostałem się do ciemnego korytarzyka w domostwie państwa Gąsiorek, a stamtąd ściskając w pięści olbrzymi nóż rzeźnicki, do pokoju panny Krystyny. Pod stopami memi podłoga skrzypnęła zdradziecko budząc śpiącą, która zawołała w najwyższym przestachu: — Któż to moją alkową nachodzi o tak późnej porze? Czyżby zbójca, zbrodzień niecnny? —

M Y D Ł O

„MYŚL TWÓRCZA” CZYLI „MAZDAZDAN”
ZDEMASKOWANY.

Przed paroma tygodniami mieliśmy zaszczyt wyszydzić przed rozbawionymi oczami naszych P. T. Wielbicieli tajemnicze pismo p. t. „Myśl twórcza Mazdazdan”. Wspomniany kwartalnik — pisaliśmy — ma na celu intensyfikację kultury duchowej przez stosowanie nowych metod w dziedzinie t. zw. „wypróżnień”. Ale co się okazuje? Perfiony Mazdazdan pod płaszczykiem teozofii i wegetarianizmu jest ni mniej ni więcej ale właśnie reklamą prywatnych obiadów niejakiej p. Dackiewicz („zamierzamy wydawać obiady u p. Dackiewicz: Mokotowska 57 m. 25 II piętro”). Ładna historia! Człowiek sobie perskie słowniki kupuje, żeby zbadać semantyczną głębię słowa „Mazdazdan”, a ten Mazdazdan to kochana pani Dackiewicz — dwa pięćdziesiąt, czy był chlebek?

*

TRUCICIELE.

Pod powyższym tytułem na str. 14 znajdujemy uroczą korespondencję w periodyku kobiecym **sub titulo** „Głos kobiet — wydawnictwo P. P. S.”:

Drogie Towarzyski!

Jestem, jak ten ptak ze związanymi skrzydłami, a wszystkiemu winien brak pieniędzy, ale mam czystą duszę i sumienie, bo wiem nie sprzedawałam ich sanacji i B. B. S.-om, choć mi złote góry obiecywali w starostwie i województwie i czekali i nie doczekali się — zato mnie teraz bojkotują, gdzie tylko mogą. Posiadam wiarę w rozwój socjalizmu, no i pustkę w kieszeni, ale ta pusta kieszeń napędza mnie dumą.

Dla biednych ludzi wiele już zrobiłam, wyrobiłam dla kilkadziesiąt chorych i kalek tak zwany „Dar z łaski” — do śmierci małe pensyjki — tak w mieście jak i w powie-

cie — opiekę społeczną ja uruchomiłam tak w szkołach jak i w gminie, już 5 lat temu i ludziska są mi wdzięczni — dziś bym stała na czele „Opieki społecznej na cały powiat — gdybym sprzedawała duszę”.

To prostytuowanie dusz ludzkich przez sanację i B. B. S. jest potworne, i na ten temat napiszę wkrótce do „Głosu Kobiet”.

Mam nadzieję, że te złe czasy się skończą, i że w przyszłości będzie inaczej.

P. S. List ten drukujemy bez podpisu; nie chcemy narazić naszej towarzyszkii na prześladowania.

P. S. List ten przedrukujemy bez podpisu. I tak zapłacę.

*

JAGIENKA Z POD LUBLINĄ.

Dawnośmy nie mieli na warsztacie tej dąmy. Tem większa to też radość sprawił nam jakże wonny poemacik tej-że, zamieszczony w Nr. 19 „Trubadura”:

Jagienka z pod Lublina.

Z cyklu „Italia”

DO WŁOCH!

Do Włoch! do Włoch! żelazny sunie wąż...
Hej w dał, hej! w dał, z widokiem widok
wciąż!

I mknij i pędz w artystów modry kraj!
Dla oczu nieś poemat, cud i raj!
Już Semmering potęgę ciska w twarz!
O ileż kras olbrzymie w sobie masz!
Wyniosłe w niż, ku morzu patrzysz ty,
Hen, w siną dał, hen, w szarobiałe mgły!
Przez wnętrze twe tunele znaczą ścieg...
Na szczytach twych jaśnieje biały śnieg,
W dolinach kwiat korony stroi drzew...
I wdzięczy się wiośniany ptaków śpiew,
Do Włoch! do Włoch, żelazny pełźnie gad!
A dusza drży, na skrzydłach rwie się w świat,
O pędz, o śpiesz, po cudzie dawaj cud!
I w locie tym zaspokój wrażeń głód!

*

*

Przysłowia są mądrością narodów. To też pocieszałem się: „Nie od razu Kraków zbudowano”. „Każdy początek jest trudny”. „Cierpliwością a pracą...” „Dla chcącego nic trudnego”. „Koniec wieńczy dzieło”. Pewnej nie-

Czytamy i oczom nie wierzymy. Na rękach to przecie naszych wyrosło! a dziś, panie święty, druga Konopnicka, omal M. H. Szpyrkówna! Ot, lzy się kręca...

*

WZDRYGNIJMY SIĘ, KTO WIE, CZY
SWIAT TEN POTRWA 3 TYGODNIE?

Istnieje grupka starych endeków, z dobrych żydowskich domów pochodzących, którzy wydają takie pismo „Walka z bolszewizmem”. Niech im tam bogowie. Jak bić — to bić, mosterdzieju. W owej „Walce z bolszewizmem” czytamy:

Z kolei redaktor miesięcznika „Walka z bolszewizmem”, p. Henryk Glas, wygłosił mocne przemówienie, oparte na dokumentach bolszewickich:

„Prześladowanie religii przez komunizm nie jest przypadkiem, lecz nieodzowną treścią komunizmu, gdyż człowiek religijny, czyli moralny, nigdy nie będzie powolnym narzędziem zorganizowanej zbrodni. Lenin wymyślił ohydny zasadę, na której opiera się cała akcja komunistyczna, a mianowicie, że „wszystko jest moralne, co jest dogodne dla partii komunistycznej”. Zrozumiałem więc jest, dlaczego komuniści uważają za dobre: morderstwo, kradzież, szpiegostwo, prowokację — jeśli tylko pomagają one wywrotowej komunistycznej robocie. Wzdryga się dusza chrześcijanina na widok bezmiaru bolszewickiej podłości”.

Racja fizyka. Ale czemu zaraz o duszy ausgerechnet chrześcijanina? Czyż my Żydzi, redaktorze, nie możemy się także wzdrigać? Czy my jesteśmy gorsi? My też mamy duszę, tę tajemniczą substancję kosmiczną.

(-).

dostrzegłszy męską sylwetkę, złożyła nakrzyż ręce i cofając się w kąt łóżka mężnie rozpoczęła: — Niedobry człowiecze! Jeśli klejnotów lub złota pożądasz, kłnę się, iż takowych nie posiadam, jeśliś zaś wtargnął, by przemocą uszczknąć cnoty mej pierwiosnek, dziewictwa liliję, wiedząc padalcze, że zdobędziesz jedynie chyba wraz z życiem nieszczęsnej! — Nie drzyj się — odparłem uspokajająco — nie ci nie zrobię, przyszedłem cię tylko zarznąć trochę, cholero jedna, na moje utrapienie spłodzona. — Przecież panna Krystyna już mnie po głosie poznała. Zaśmiała się plasnąwszy rączkami, wyrzekła: — Ależ to trzpiot i filut z pana kancelisty. Żeby tak mnie wystraszyć, fe, fe, brzy-

dki zbytniku. Zawsze wszak mówiłam, że z pana to żartowniś tyci, ot tyciuteńki. — I na końcu małego palca jąła określać, jaki to ja tyciuteńki żartowniś. — Aaaaa! — Rozdarłem się, jak nieboskie stworzenie, poczem porzucając niedoszłe narzędzie mordu, wyskoczyłem przez okno.

*

*

dzieli, gdy panna Krystyna z książeczką do nabożeństwa udała się na sumę, zakradłem się ponownie do dziewiczego pokoju i nadpiłowałem odrobinę stojącą tam spirytusową maszynkę, wsypałem do środka nieco strzelniczego prochu. Niedużo, ot, ze dwie garstki. Poczem cofnąłem się zacierając za sobą wszelkie ślady. Obszedłem podwórze i klucząc przez lasek, z przeciwną zupełnie strony, jak gdyby nigdy nic, wyszedłem na drogę. Idąc tak pełen różowych nadziei, spotkałem Krysię. Wracając z kościołka: — Ach — wołała już do mnie zdaleka — jakam ja głodna, jaka głodna, niczem wilczek. Spieszę teraz oto do domu, by zagotować sobie kusztyczek pozostałego z obiadu winkowatego bar-

Na ogólne żądanie — rysunek o teściowej



RELACJA SYNOWSKA

„Nie, mój ojczule! To laszka-teściowa!”

szczyku. Może pan do mnie na filiżankę pozwoli. — O nie, dziękuję. — Zawołałem z przekonaniem.

Kancelarja pana reagenta znajdowała się nawprost domostwa państwa Gąsiorek. Stałem w oknie mej pracowni patrząc z sercem wzburzającym bezmiernym szczęściem, gdy panna Krystyna wraz z całą kamienicą swych rodziców eksplodowała w powietrze. Dopiero po przebrzmiałym wybuchu odetchnąłem z ulgą, jak zbłąkany w pustyni wędrowiec oddycha po ożywczej ulewie, która kończy parną od dni wielu spiekotę, i pozwala napać na węgiel spalone pragnieniem, opuchnięte wargi. Nazajutrz odbył się wspólny pogrzeb, a na cmentarzu mówiła pani aptekarzowa Bałasek do pani weterynarzowej: — Ach te wynalazki! Jakież to niebezpieczne, taki „Primus”, moja pani, już niejedną spowodował wypadek. Ileż to nieszczęść sprowadza ten postępek techniki. — Policja przeprowadzając dochodzenie, skrupulatnie zanotowała w protokole, że przyczyną katastrofy było nieumiejętne obchodzenie się z prymusówką.

Ja, jestem zdrow i wesół. Uśmiecham się i pogwizduję. Kanarek ma codziennie świeżą wodę, siemię i sałatę. Klientów załatwiam uprzejmie i dokładnie. Na fortepianie leżą nuty w porządku: Chopin, Wieniawski i Moniuszko. Szef jest ze mnie zadowolony. Nawet ostatnio podwyższył mi honorarium. Wszyscy mnie chwala, ogólnie jestem lubiany.

No, i z tą swoją „Zbrodnią i Karą” jak pan teraz wyglądasz, panie Do stojewski?

Tadzio-Tadzio.

A N E G D O T Y

Szkot Mac Intosh miał szczególne upodobanie do pastylek miętowych. Przyjaciół zaś jego Clifford posiadał dużą fabrykę tych przysmaków. Clifford był bardzo bogatym człowiekiem, ale i bardzo skąpym. Gdy Mac Intosh ożenił się, Clifford sedecznie mu powinszował i wstydliwie wyciągnął z kieszeni ćwierćfuntową tutkę pastylek miętowych — jako ślubny prezent. Nazajutrz pyta nowożeńca:

— Jak wam smakowały pastylki?
— Doskonale, — odpowiada Mac Intosh — żona zjadła trzy i ja też trzy.
— Tylko po trzy? — dziwi się Clifford, bo znał namiętność Mac Intosa.
— Naturalnie, — odpowiada Mac Intosh.
— Resztę schowałem... dla dzieci.

Tristan Bernard był właśnie na przechadzce z Courteline'em gdy ten poślizgnął się, upadł i zwichnął nogę.

Courteline, odwieziony do domu, piekielnie się nudził.

Tristan Bernard zorganizował tedy masową wizytę do rannego w której wzięli udział wszyscy jego przyjaciele i znajomi.

Rychło mieszkanie Courteline'a przy ulicy Victor Masse zamieniło się w piekło dla lokatorów kamienicy: dyskusje, krzyki urywane, melodeklamacje, tańce z przytupem i bez, zaimprovizowany jazz i inne rozrywki cygańskiej braci, które przeciągnęły się do późna w noc w mieszkaniu C. spędziły sen z oczu mieszkańców kamienicy.

Pierwszego dnia lokatorzy kamienicy znieśli to wszystko ze stoickim — zaprawdę —

X. ogląda dom i prawie zdecydowany na kupno tegoż spostrzega, że za ogrodem położony jest ogromny budynek fabryczny.

— Kupiłbym ten dom, — mówi do pośrednika — gdyby nie ta fabryka, która mi cały widok zasłania.

Pośrednik (z uśmiechem): — O, wie pan to tylko fabryka prochu, może każdego dnia wylecieć w powietrze.

— Marysiu, porcelana, którą mi Marysia słukła pochodziła z 18 wieku!!

— Dzięki Bogu! A ja już myślałam, że to nowa.

On: — Dlaczego piszesz na liście datę piętnastego, kiedy dziś jest dopiero ósmy?

Ona: — Chcę ci go dać, żebyś go wrzucił do skrzynki.

spokojem. Lecz następnego dnia, gdy cała kamienica została postawiona na nogi o 3-ej w nocy niesamowitem wyciem, połączonem z grą na cymbałach, sąsiad Courteline'a — jakiś kapitan — zapukał do jego drzwi i zapukał:

— Na Boga? Cóż się tu dzieje? Co się stało?

I cała banda odparła chórem, którego natężenie i moc wstrząsnęły domem w posadach:

— Tu jest chory!

Pewien szkot zauważył na wystawie przedsiębiorstwa pogrzebowego tablicę z napisem:

„Wielka reklama
„Następny umarły będzie pochowany darmo”.

Bez chwili wahania szkot wyciąga rewolwer i strzela sobie w łeb.

W towarzystwie, w którym znajdował się Bernard Shaw, zaśpiewał ktoś staroświecką pieśń.

Gdy skończył, uszmkowana, lecz niemłoda pani zwróciła się do poety:

— Pieśń ta przypomina mi moją młodość...

— Tak? — odparł nieubłagany satyryk — nie przypuszczałem, że to taka stara pieśń.



MIGUEL CERVANTES DE SAZVEDRA

Z DON KICHOTA

Dzięki uprzejmości Dra Edwarda Boyęgo, który ukończył pracę nad przekładem Don Kichota, możemy podać naszym Czytelnikom fragment znamiętej powieści Cervantesa. (Red.).

KAPITULUM XLIII (CZĘŚĆ DRUGA)

O RADACH, KTÓRE DON KICHOT UDZIELAŁ SANCZO PRZED JEGO WYRUSZENIEM NA WYSPĘ.

Któżby, czytając poprzedni dyskurs Don Kichota, nie miał go za człowieka wielce roztropnego i o najlepszych intencjach.

Jednakże, jakośmy to już niejednokrotnie w tej wielkiej historii namieniali, od rozumu całkiem odchodził, gdy o rycerstwie błędem napomkniono, chociaż we wszystkich innych rzeczach, jasne i bystre rozeznania okazywał. Na każdym kroku jego uczynki sprzeciwiały się jego rozumowi, a rozum uczynkom przeczył. W tych drugich napomnieniach, danych Sanczo, okazał rozum bystry, i podał na jaśnie zarówno swoją mądrość, jak i szaleństwo. Sanczo słuchał z pilnością swojego pana i usiłował dobrze sobie wprawić w umysł jego zarządzenia, jako człowiek, który chce ich na dobre użyć i z ich pomocą wywiązać się należycie z powinności swojego urzędu. Don Kichot tak dalek mowę do niego prowadził:

— Co się należy do sposobu, jakim masz rządzić swoją osobą i swoim domem, najprzód ci zalecam, abyś był czysty i paznokty sobie obrzynał, nie pozwalając im rosnąć, jak to niektórzy czynią, myśląc w swojej głupocie, że długie paznokty są ręki ozdobą, jakby ten wyrostek i narost, której nigdy nie obrzynają, paznoktem była; podczas gdy jest ona raczej szponem pustulki, która na jaskółki poluje; brudny to i dziwaczny przydatek. Nie pokazuj się ludziom bez pasa i w stroju niedbałym, bo to znaczy człowieka nierządnego. Nieschludność i niedbałość czasem bywa oznaką przebiegłości, jak o Juliusza Cezarza sądzono.

Wymiarkuj dokładnie wiele ci może uczynić dochodu to wielkorządztwo i jeżeli będziesz w stanie trzymania wielu ludzi pod barwą, daj im odzież ozdobną, ale raczej użyteczną, niż okazałą, wymyślną i wspaniałą. Rozdziel ją między sługi twoje i ubogich, chcę rzec, że jeśliś miał przyodziać sześciu pokojowców, przyodziej jeno trzech z nich i trzech biedaków. Tym kształtem będziesz miał paziów w niebie i paziów na ziemi. Jest to nowy sposób rozdawania odzieży, którego nie znają ludzie próżni. Nie jadaj czosnku ani cebuli, aby z cuchnienia nie spostrzegli twego stanu nikczemności. Chód miej poważny i mowę powołąną, ale nie tak, żeby się zdawało, iż sam siebie słuchasz, bowiem każda przysadność jest zła i szkodliwa.

Jedz mało na obiad, a na wieczerzę jeszcze mniej, bowiem kuźnią zdrowia ciała całego jest żołądek. Bądź powściągliwy w pićiu, bacząc, że nadużywszy wina ani tajności nie zachowasz, ani przyrzeczeń nie do-

trzymasz. Nie żrej pełną gębą i przytłumiaj szpetny zwyczaj odrzucania.

— Tęgo nie rozumiem — rzecze Sanczo — cóż znaczy to odrzucanie?

— Odrzucać Sanczo, znaczy odrzygać. Jest to jedno z najgrubszych i dobrze plugawych słów naszego języka kastylejskiego, chociaż i wyraziste bardzo, tak iż ludzie obyczajni i znaczniejsi wspomagają się łaciną i miast odrzyganie mówią odrzucanie. Jeśli kto tych określeń nie rozumie, mała z tego szkoda, gdyż z biegiem czasu użycie wprowadzi je do języka, tak iż staną się łatwiej wszędzie pojmovane. Jest to zbogacanie języka.

— Zaprawdę Wasza Miłość — rzecze Sanczo — rada i przestroga, którą najlepiej będę pamiętał, ta jest, abym nie odrzygał, gdyżem zwykł to często czynić.

— Rzeknij, wstrzymywać odbijania — odparł Don Kichot, a nie odrzygać.

— Będę więc mówił odtąd wstrzymywać odbijania, jeśli się w tem nie zapomnę.

— Wystrzegaj się także Sanczo, mieszać w swojej mowie mnóstwo przysłówów, chociaż bowiem przysłowia są krótkimi sentencjami, ty je naciągasz tak dalece, że podobniejsze są do andronów, niżli do maksym.

— Temu — odparł Sanczo — chyba sam Pan Bóg zaradzi, bo znam więcej przysłówów, niż księga; gdy mówić pocznę, do gęby mi się gwałtem cisną i klócą się między sobą, które pierwszej ma na świat wylecieć. Wówczas mój język wyrzuca pierwsze, które napotka, chociaż jest ono i źle stosowane. Z tem wszystkiem będę się odtąd starał wypowiadać jeno te, co nawszem z godnością mego urzędu się zgadzają, jak: w dostatnim domu obiadu nie skąpią nikomu, nie szukaj zwady, masz li dość rady, nie na darmo robi larino ten, co chce żyć w bezpieczeństwie i głupi daje mądry bierze.

— Dalej Sanczo — zawołał Don Kichot — nadziej, gromadź, niszaj, więcej tych przysłówów, gdyż nikt ci nie przeszkodzi, ja ci mówię, abyś przysłówów unikał, a ty z całą ich litanją na harc wyjeżdżasz, chociaż są one tak do rzeczy, jakbyśmy teraz o górach Ubedo gadał. Zważ Sanczo, nie mówię, aby przysłowie dobrze użyte, nieprzyjemne być miało, ale tłoczenie i pakowanie ich na kupę bez ładu i składu, czyni rozmowę naprzykrzoną.

Gdy wsiądziesz na konia, nie zginać ciała ku tylnemu łękowi siodła i nie trzymaj nóg rozpostrzoczonych od końskiego brzucha.

Nie trzymaj się na siodle ociężale i niedbale, jakbyś na ośle siedział. Sposób jeżdżenia na koniu sprawia, że jedni mają pozór rycerzy, a drudzy masztelarzy. Pomiernieśnu używaj, gdyż ten kto nie wstaje wraz ze słońcem, nie używa całego dnia. Zważ także Sanczo, że pilność jest matką fortuny, podczas gdy lenistwo jej nieprzyjacielem.

Ostatnią radę, której ci teraz udzielię, chociaż nie należy ona do ciała ozdoby, winieś dobrze sobie w pamięć wrazić, gdyż mniemam, że ci nie mniej pożyteczną będzie, jak pierwsza, to jest, żebyś nigdy nie wdawał się w spory o rodowitościach, a przynajmniej jednego rodzaju z drugim nie sztychował. Z tych rodzajów, które przyrównasz, jeden musi być znamienitszym, dlatego też ściągnąwszy na się nienawiść od tego, co byś go chciał poniżyć, a zarazem od wywyższonego żadnaby cię wdzięczność nie spotkała.

Strój twój składać się powinien z płudrów, z kaftana szerokiego i długiego i z jeszcze dłuższego, okolistego płaszcza. Spodek krótkich nosić ci nie iza, bowiem nie przystoi to wcale rycerzom i wielkorządom. To na ten raz wszystko, co ci poradzić mogę. Gdy pewien czas upłynie, będziesz ode mnie odbierał inne pouczenia i napomnienia, słownie do okoliczności, jeśli tylko nie zaniedbasz uwiadomić mnie o stanie, w jakim się znajdujesz.

— Widzę Wasza Miłość — odparł Sanczo — że wszystkie rzeczy, które mi WPan powiedział, są święte, dobre i użyteczne, ale na cóż mi się one przydadzą, gdy ani jednej pamiętać nie będę? Zapewne, że rada, aby obrzynał sobie paznokty i owdowiawszy powtórnie ożenił się, jeśli sposobność się zdarzy, nie wypadnie mi z pamięci, ale o całej tej sickaninie i mieszaninie hultajskiej o tych wszystkich obrotach i przebiegach, będę wiedział tyleż, co o zeszłorocznych chmurach. Dlatego też koniecznem mi się widzi, abym te rady na piśmie od WPana odebrał, chociaż bowiem ani pisać, ani czytać nie umiem, mogę je dać swemu spowiednikowi, aby mi nimi głowę nabijał, ile razy tego będzie potrzeba.

— Ach — zawołał Don Kichot, — bieda to wielka, jeśli gubernatorzy czytać i pisać nie umięją. Musisz wiedzieć Sanczo, że o człowieku, który pisać nie umie, albo jest małkutem, wnoszą jedną z tych dwóch rzeczy; to jest, że urodził się z rodziców bardzo podłego stanu, albo też, że jest na tyle leniwy i tępy z przyrodzenia, iż ani ćwiczenie, ani nauka nie mają przystępu do jego duszy. Nie mała to wada, mój przyjacielu, ta

nieumiejętność i radbym, żebyś się nauczył przynajmniej imię twoje podpisać.

— Imię swoje nagryzmoć umiem — odparł Sanczo — gdy sprawowałem pewien znaczny urząd w bractwie naszej parafii, nauczyłem się stawiać pewne wielkie jak skrzynie litery, które jak mi mówiono, na moje imię się składają. Do tego mogę przydać, że w prawej ręce nie mam władzy. Ktoś inny za mnie będzie się podpisywał, bo na wszystkim jest sposób oprócz śmierci. Mając w garści łaskę władzy, będę czynił, co będę chciał, jeszcze swobodniej niż ten, co ma ojca sędziego. Gubernator więcej znaczy, niż sędzia na wsi. Niech się zbliżą i poprobiają, a obaczą, czy pozwolę z siebie dworować i dudka czynić. Jeśli są z welny, wrócą postrzyżeni. Pokornego i skromnego Bóg wwyższy, choćby się w mysiej jamie ukrył. Bzdury, które bogacz plecie, za sentencje na świecie uchodzą. Ja zaś zostawszy bogatym, gdy będę rządcą, a do tego wspaniałomyślnym i hojnym, nie popełnię uchybienia ani błędu. Gdzie jest miód, tam i muchy się znajdują. Tyle znaczysz, ile masz — powiadała moja babka — i człowiekowi bogatemu, a mocnemu nie przeciw się.

— Bądź przeklęty Sanczo — zawołał w tem Don Kichot — niech siedemdziesiąt tysięcy bisów porwie cię razem z twemi przysłowiami. Przysięgam ci, że pewnego dnia te przysłowia doprowadzą cię na szubienicę i że z ich przyczyny poburzą się twoi poddani na wyspie i rządy ci odbiorą. Powiedz mi, skąd je bierzesz ty, głupcze i jak ich u-

żywasz, lajdaku. Ja, aby jedno wynaleźć i dobrze przystosować, muszę się dobrze napocić i natrudzić, jak przy kopaniu motyką.

— Na Boga Wasza Miłość — odparł Sanczo — nie trzeba tak wiele gniewać się o rzeczy blahe. Czemuż nie zżymać na mnie za to, że używam mego dobra. Nie posiadam przecie innej chudoby i bogactwa, jak przysłowia i jeszcze raz przysłowia. A owóż teraz mam na pogotowiu cztery tak dobre, jak piękne gruszki do koszyka, ale ich nie powiem, gdyż człek w mowie strzeżliwy zwie się Sanczo.

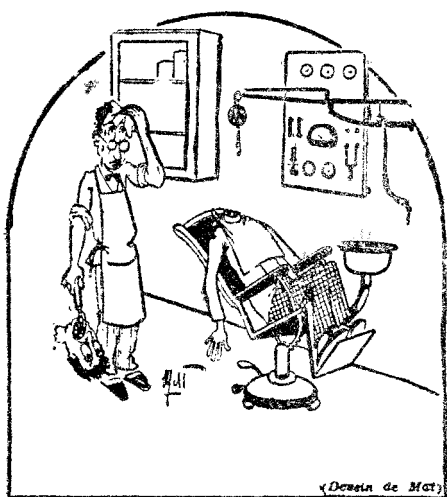
— Tym Sanczem nie jesteś ty — odparł Don Kichot — bo nie tylko strzeżliwy w mowie być nie umiesz, ale do tego jesteś rozprawiaczem złym i uporczywym gadułą. Z tem wszystkiem radbym uznać jakie to cztery stosowne do okoliczności przysłowia na pamięć ci przysły. Chocia ja mam pamięć dobrą i usilnie w niej szperam, chcąc znaleźć przysłowie, służące do rzeczy, przecie nie znajduję.

— Najlepsze, które naleść można, są te — odparł Sanczo — nie kładź palca między dwa siekacze; gdy gliniany dzban wali w kamień, albo kamień w gliniany dzban, tem gorzej dla dzbanu. Za drzwiami mego domu nie odpowiadam nikomu. Te są wyraźne przypowieści, które tu dobrze podchodzą. Niechaj nikt nie igra ze swoim gubernatorem, albo tym co mu rozkazuje, gdyż będzie tak zmiażdżony, jak ów palec, co się między dwa siekacze dostał, które jeśliby nawet siekaczami nie były, wszakoż zębami pozostaną. Gdy gubernator mówi i rozkazuje, nie ma mu się co przeciwiać i nagabywać go, do czego służy ta przypowieść. Za drzwiami mego domu nie odpowiadam nikomu. Co się tyczy przysłowia o dzbanie i kamieniu, to i ślepy by je namacał. Gdyż trza, aby ten co widzi ździebło w oczach bliźniego, w swoich belkę obaczył; inaczej o nim rzekną, że śmierć boi się człeka, któremu głupota głowę odjęła. Wiecie przecie Wpanie, że więcej wie głupiec w swoim domu, niż mędrzec w domu obcym. — Owóż i nieprawda Sanczo — odparł Don Kichot — głupiec nie wie nic zarówno w swoim, jak i w obcym domu, bowiem na osnowaniu głupoty, żaden gmach wznieść się nie może. Ale porzućmy to mój Sanczo, jeśli źle będziesz rządził, twoja to będzie wina, a mój wstyd. Tem się tylko pocieszać mogę, że ci nie omieszkał dać najlepszych rad i napomnień, na jakie mnie tylko stać było. Uścilem tedy moją powinność i mojej obietnicy dopełniłem. Niechaj cię Pan Bóg szczęśliwie prowadzi, Sanczo i oświeca cię w tem rządzeniu, mnie zaś wybawia z obawy, którą mam,

myśląc, że z całą wyspą do góry nogami się wywrócisz. Odemnie to zawisło wprawdzie zaspokoić się wnet w tej trwożliwości; tyłkoby powiedział Księciu, ktoś zacz, oznajmując mu, że twoja tłusta osoba jest tylko składem pustych przysłów i psot przeciwnych.

— Jeśli mniemacie Wasza Miłość — odparł Sanczo — że nie jestem zdalny na dobrego rządcę, odstępuję w tej chwili tego urzędu. Milszy mi jest czarny okrawek paznokta mojej duszy, niżli całe moje ciało. Żyć będzie tak dobrze Sanczo prostak, jedzący chleb i chosnek, jak Sanczo gubernator, karmiący się przepiórkami i kapłonami, zwłaszcza, że śpiąc, wszyscy równi jesteśmy, wielcy i mali, biedni i bogaci. Gdy Wasza Miłość dobrze zważy, przynasz, że samżeś mnie do tego pobudził, abym został gubernatorem. Znam się na rządzeniu wyspami, jak puhacz. A jeśli mniemacie, że gdy ostanę gubernatorem, czar mnie porwie, tedy wolę iść do nieba, jako Sanczo, niż do piekła jako gubernator. — Na mą duszę Sanczo — odparł Don Kichot — dla tych ostatnich słów, co je wymówiłeś, wart jesteś być gubernatorem tysiąca wysp. Z przyrodzenia swego jesteś pocziwym, a przy tem za nic nauka. Połć się Bogu i nie daj się odwieść od pierwszych swych zamysłów, chcę rzec, abyś miał twardą chęć i myśl dobrze czynienia we wszystkich okolicznościach, co ci się zdarzą. Niebo zawsze dobrym zamysłem błogosławi!

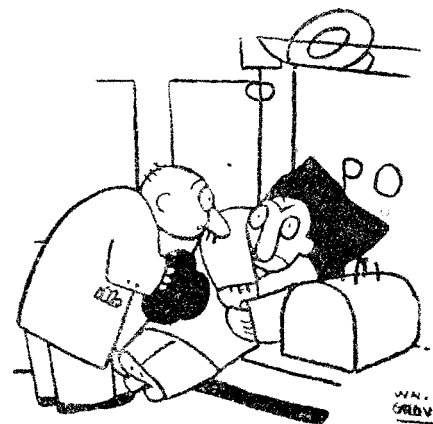
Ale teraz pójdźmy na obiad, bo zdaje mi się, że na nas czekają za stołem.



Dentysta: — Och, nareszcie! Ile trudu kosztowało mię to wyrwanie zęba bez bólu!

(Rys. Mat, Paryż).

UPRZEJMY.



— Ja chciałem tylko panu powiedzieć, że może pan pospać sobie dłużej, bo nie dojechalibyśmy jeszcze na miejsce.

(Le Rire, Paryż).

Bezstronny i całkowity obraz tygodnia daje

Tygodnik „PRAWDA”

Polityka, sprawy gospodarcze, zagadnienia społeczne, literatura i sztuka.

Staranny dobór piór

Korespondenci zagraniczni

Największy i najbardziej bezstronny tygodnik polski

Exemplarze okazowe bezpłatnie

Zamówienia adresować: Tygodnik „PRAWDA” Łódź, Piotrkowska 86.

Z cyklu „Wielkie Miasto”



rys. J. Zaruba

Wiosenna miłość

ZŁOTE SERCE.

— Podoba mi się ta panienka... ożenił-
bym się z nią.
— Przecież ona ma trzy miliony posagu!!!
— To mnie nie wstrzyma!

*

— Mąż mi dziś zrobił straszną scenę!
Znalazł u mnie list miłosny.
— Ładne czasy — od kogoż był ten list?
— Od niego samego z przed piętnastu
lat!

*

— Dziwne to, ale zawsze dzień przed
wyjazdem jest mi niedobrze.

— To dlaczego nie wyjeżdżasz o dzień
wcześniej?

*

Jaś dowiedział się, że nowoprzybyły bra-
ciszek jeszcze nie ma imienia, pyta więc
ojca:

— Tatusiu, jeżeli on jeszcze nie ma imie-
nia, to skąd wiadomo, że należy do naszej
rodziny?

*

Henio: — Dlaczego mamusia sobie robi
trwałą ondulację?

Mama: — Widzisz, dziecko, dlatego, że-
by potem przez sześć tygodni nie ondulo-
wać włosów.

Henio, po namyśle: — Mamusiu..., a
czy ja bym sobie nie mógł zrobić trwałego
mycia?

*

— Proszę pana, — mówi woźny — przed-
stawienie zaczęło się już przed dziesięcioma
minutami. Niech pan wejdzie cichutko!

— Czy już wszyscy śpią?

*

O MIŁOŚCI

Okutany w samotność i ciszę, siedzę na brzegu łóżka mojego współlokatora i wroga śmiertelnego. Zegar tika na pobliskiej ścianie, a ja czytam „Pałubę” i jem pomidory. Do szczęścia brakuje mi tylko zrozumienia tego co czytam, oraz soli do pomidorów.

Ale ponury realizm życia przerywa mi tę błogosławioną robotę; — bo nagle czuję w pokoju zapach węgla i czyjąś obecność. Unoszę do góry brzemienne w metafizykę głowę i wzrok mój napotyka globalną postać przyjaciela mego Florena Podmucha. — Cementarny ma wygląd; — niby to elegancki, — bo i spodnie — jak nigdy — wyprasowane ma akuratnie, i marynarka zapięta na oba guziki, w monstrualnej wielkości łapie trzyma nawet wiotki narcyz. — Ale to wszystko dodaje mu jedno niesamowitości. Stoi jak słup, przycisnąwszy brodą, wcale ładny — jak się później okazało — krawat i drażni wzrok mój precezyjnym, pedantycznie spreparowanym przedziałem na głowie, — rozdzielającym włosy na dwa lśniące, czarne płaty; — tam się nieści węgla.

— Co to, — pytam przeczytałeś Schopenhauera, czy masz ciasne obuwie, — spoglądam przytem na to obuwie, — aha — dodaje zjadliwie — Bata, hehe, — a nasi szewcy wieszają się po kątach, ty, — e — hm, — snobie.

Uwalnia krawat od ciężaru brody i ukazuje swoją twarz, — przyjrzyjmy jej się, zaim pocznę poruszać ustami i mówić.

Nie będę błagował: — przyjaciel mój był kiedyś Eskimosem i nazywał się Pipak. — Na małym kajaku podpłynął do pływalni Kozłowskiego, na Wiśle, wdarł się podstępnie do cudzej kabiny, zabrał ubranie cywilne, zostawiając futra, zjadł znajdujące się tam mydło, zmienił nazwisko, nauczył się mówić po polsku, stał się moim przyjacielem i stoi teraz zatroskany przedemną. A racja! jeszcze twarz. Okrągła, różowa z nosem. Ohydny, wstrętny megaloman i wielbiciel patefonów.

— Zakochałem się — powiada — i cierpię jak foka na Saharze. Nie zapomniat, jak widzimy, przeszłości.

— Phi! — gwizdnąłem jak łobuz skończony — a to ci trafi!

— Cierpię okropnie, — bez wzajemności... poradź coś — oj.

Zaczęłem indagować.

— Boli cię powyżej żołądka?

— Aha.

— I w piersiach coś zatyka?

— Ahaaha!

— I uda drzą, i spać nie możesz?

— Ahaha, tak, tak... ojoj!

— I ludzi unikasz?

— Oj, tak, tak — rzeczywiście, — chętnie przesiaduję na strychu.

— Czy napisałeś już wiersz? — nie, — no to napiszesz w dniach najbliższych. — Tek, — mruknąłem zamyślony — wszystko normalnie.

— Ohaj! — jakże jestem nieszczęśliwy, — rzekł mój przyjaciel i usiadł w roztarżeniu na mały stołeczek, miażdżąc go — co mówię — wciskając momentalnie w podłogę.

— A apetyt, jak tam? — zapytałem, myślarz w duchu o bezsensowności tego pytania.

— Co! — prawie żaden — rzekł, siadając na żelaznym kufrze — jadam tylko czterzy razy dziennie i to, haj — szkoda mówić o tem — obiad normalny, tak jak wszyscy, jakieś tam dwa kotleciaki, ot, widzisz, nieszczęście.

Przyjaciel mój zaczął płakać, — schowałem przezornie nocne pantofle do szafy i sam przeniosłem się na kanapę, — niema żartów, pomyślałem, gotów mi zatopić różne sprzęty znajdujące się na podłodze, poczem zacząłem obmyślać środki zaradcze. Po upływie kilku minut powiedziałem.

— Musisz się z tego wyleczyć, inaczej zwarujesz, albo zagłodzisz się na śmierć. — Przedewszystkiem musisz z nią moc mówić, ponieważ teraz pleciesz jej pewnie różne sentymentalne bzdury. Tedy więc słuchaj co masz robić: wynajdziesz jakiś za-

WIELKI LOS

Czy przypominają sobie państwo loterię Sztuki Dekoracyjnej? Była tam wygrana na sto tysięcy, dwieście tysięcy, trzysta tysięcy; czy ja wiem?

Izak Chèvre kupił właśnie los na tę loterię i powiedział sam do siebie: „Słowo daję, gdybym wygrał te trzysta tysięcy, toby mi się akurat przydało”.

W przeddzień ciągnięcia — było to w piątek wieczór — Izak Chèvre wchodzi do synagogi i zaczyna się modlić: „Wielki Boże żydów, czy wiesz, co Ci dam, jeżeli pozwolisz mi wygrać wielki los? Połowę sumy na budowę synagogi”.

Nazajutrz odbywa się ciągnięcie. Izak Chèvre nic nie wygrywa.

Po sześciu miesiącach ogłaszają nową loterię. Izak mówi sobie: „Spróbuję jeszcze raz i kupię los. Ale tym razem zwrócę się do Boga chrześcijan. Może z tej strony będę miał więcej szczęścia”.

Wchodzi więc do kościoła, zdejmując kapelusz: „Wielki Boże chrześcijan, mówię, jutro jest ciągnięcie loterii, na którą mam numer 434.222. Jeżeli wygram trzysta tysięcy franków, połowę przeznaczam dla Ciebie na budowę pięknego kościoła”.

Nazajutrz odbywa się ciągnięcie. Główna wygrana pada na numer 434.222; Izak Chèvre wygrywa wielki los w sumie trzystu tysięcy franków!

— A jednak, mówi sam do siebie, jeszcze wolę żydowskiego Boga! Ten przynajmniej nie dał się oszukać!

Tristan Bernard.

ciszny kącik, umaisz go i zwabiwszy tam przyczynę łez, które w tej chwili ronisz, dasz jej istotne dowody swojej miłości. Niech cię Bóg broni, żebyś teraz miał spacerować z nią przy księżycu i dawać jej kwiaty. — Wszystko to będziesz robił potem. W przeciwnym razie umrzesz i gorzko później wyrzucasz sobie swoją lekkomyślność. A teraz idź już i pozwól mi wrócić do rzeczy wyższych, — to mówiąc spojrzalem czule na tom „Pałubę”.

Przyjaciel mój podbiegł do mnie z okrzykami radości, chciał mnie zdaje się uściskać, — ale ja żywo wskoczyłem na piec i w ten sposób uniknąłem zgniczenia klatki piersiowej. Z pieca pożegnałem go serdecznie i gdy wyszedł, zacząłem robić to, co na początku niniejszego opowiadania.

* * *

Mineło parę miesięcy; liście już opuściły drzewa i połączyły się z ziemią. Osłabłe promienie słońca, nie były już w stanie opalić policzków śmiejących się kobiet, — a ja, osiwiły już trochę na skroniach, kończyłem czytać „Pałubę”. Pewnego niedzielnego ranka zjawił się mój przyjaciel. Miał minę nieco zdziwioną i zaczął mówić z oburzeniem.

— Nie spodziewałem się że z ciebie będzie taki drań. — Wyleczyłem się wprawdzie z miłości, ale za parę dni będę miał sprawę w sądzie i do dnia wczorajszego byłem pod obserwacją psychiatry. Historia tego wszystkiego jest krótka — gdyś mi wtedy poradził — przekłeta niech będzie ta godzina, — żeby dać jej „istotne dowody” mej miłości, przypominałem sobie, że w naszej rodzinnej wiosce Soskisoski był zwyczaj okazywania swej miłości zapomocą dawania pannie różnych przysmaków. Tak więc poszedłem w nocy do ogrodu zoologicznego, porwałem fokę, wy dobyłem z niej serce i wątrobę, wykrajałem parę ładnych kawałków tłuszczu, kupiłem przytem parę świec i trochę pachnącego mydła i zaprosiłem pannę do zacisznego pokoiku, umaiwszy go uprzednio. Rzeczywiście przyszła bardzo chętnie, — wówczas ja wy dobyłem swoje przysmaki i zacząłem ją częstować z uśmiechem szczęścia.

Ale ta głupia zaczęła krzyczeć i chciała czmychnąć. Drzwi jednak były zamknięte na klucz, dziwiła mnie trochę jej chęć do ucieczki, bo przecież widziała jak je zamykałem. Rozgniewał mnie jej upór, dość miałem tego wszystkiego, zacząłem jej pchać w usta wątrobę, a potem tłuszcz i serce foki. Ktoś wywalił drzwi, zabrano nas oboje do szpitala, każde na inny oddział. Dziwna kobieta, — zła była twoja rada mój przyjacielu.

W kilka dni potem odbyła się rozprawa sądowa. Mego przyjaciela odesłano do jego rodzinnej wioski Soskisoski.

Zbigniew Uniłowski.

RYSZARD RIESS

ŚWIETNA FRANCUSZCZYNA

Nie mógł zrozumieć Kleofas, pōco się tyłu języków w szkole uczył: i greckiego, i łaciny i francuskiego... Z łaciny nie pozostało w głowie nic, oprócz łaskotu walących się dzbanków, a z greckiego... pierwszy wiersz „Odysei”: „Andra moi ennepe Musa...” Pamięta, że kiedyś, trzymając się w tym tonie, wygłaszał jednostajnie X wierszy. A teraz... Ale francuski! Czyż to, na Boga, nie jest język żywy?

— Tandem tedy — powiada Kleofas i kupiwszy sobie „456 słów po francusku” puścił się w podróż do Szwajcarii.

— Ani słóweczka po niemiecku — postanowił. — Nikt nie powinien rozróżnić, czy jestem codziennie w Café de Paris czy na piwie w szynku bawarskim.

— Proszę bilet — powiada konduktor za Fryburgiem. Skądże ten człek wie, że Kleofas rozumie po niemiecku?

— Bezczelność! — pomyślał Kleofas, szukał siedem sztuk z „456 słów po francusku” i... kiedy to się jakoś, psiakrew, nie klei. Nie będzie przecież kontrolera prosił o: „zajęcie pokoju z łóżkiem”. Ale... oto jest... „Ayez la bonté, monsieur, de me dire, où se trouve la gare”. Doskonale. Nawet, gdy się jedzie koleją. Zaaplikował jeszcze kawałek: „La gare de Montreux”. Chyba w pociągu genewskim będzie wyglądało świetnie.

Kontroler uśmiechnął się i udzielił mu informacji. Ejże! Ten człowiek zna napewno więcej, niż „456 słów” po francusku! Kleofas pogłodził się po głowie, z miną wersalczyka, który zawsze rozmawia po francusku. Oczywiście — tak — wszystko rozumie! Urzędnik znowu nieostroźnie używał wielu, wielu słów, w książce kleofasowej nieumieszczonych. Nie są aż do tego stopnia uprzejmi kontrolerzy na kolejach szwajcarskich. Przyjął ze spokojem odpowiedź kolejarza. Gdy się po pewnym czasie zwrócił znowu do tego człowieka z pytaniem, kiedy staną na dworcu w Montreux, otrzymał odpowiedź po niemiecku, że niedługo będą w Genewie. Dlaczego się nie przesiadł w Lozannie?

— Mówiłem panu przecież o tem. Co prawda... po francusku.

*

Kleofas pomyślał sobie:

— Ha, trudno. Trzeba się do wszystkiego przyzwyczaić. Tak jest też z obcymi językami. Nie rozumie się ich początkowo, to prawda, ale potem się człowiek przyzwyczai i nabierze wprawy.

Zawrócił z Genewy i uczył się następujących zwrotów:

— Szanowny panie, czy nie byłby pan na tyle uprzejmy, aby mi wskazać drogę, która wiedzie do hotelu de Rome.

albo:

— Czy może mi pan służyć pokojem z oddzielną łazienką? — i t. d.

Przybył. Pyta się. Ani słóweczka po niemiecku! O „Hôtel de Rome”. Został posłany przez Montreux, potem Terriset, aż wreszcie wylądował w Charens. Nigdzie jednak nie było hotelu de Rome. Zrezygnował z niego wreszcie i udał się do pierwszego, dobrze się prezentującego. Wyniósł swoje „kawałki” na pamięć.

— Ach, pokój z łazienką? — świetnie.

I usłużny portjer dodaje obce słowa:

— Może i z salonem?

Kleofas się zgadza. Oui! Jest uszczęśliwiony! Portjer bierze go za paryżanina. Mówi z nim przecie płynnie po francusku.

Otrzymuje apartament. Trzypokojowy. Z widokiem na jezioro. Z własnym boy'em.

Rozniosło się zaraz, że jakiś milioner przyjechał. Nie można go co prawda zrozumieć, si — cieszy się niesłuchanie.

Kleofas siedzi w jadalni. Alkohol został mu zabroniony przez lekarza. Wobec tego:

— Un peu de lac — (Lac i lait dziwnie się miesza).

— Lac? Lac? Jezioro pan sobie życzy? — zastanawia się kelner.

— Aha, kawalarz z tego bogacza! Chce całe „morze szampana”. Ostatecznie chyba tylko i właśnie dla takich ludzi, jak Kleofas produkowane są ogromne, podwójne butle szampana. Przyholowano mu tedy taką fla-

szeczkę. Wyglądało to, jak pomnik. Boże drogi! A on przecież chciał mleka... troszkę mleka...

Dostał kataru i położył się do łóżka. Nie może wstać. Rzuca okiem za okno. Po jeziorze Genewskim wędrują białe obłoki, a poniżej w błękitie nieba parostatki. Ach... zadzwonić. Na kelnera: trzy razy.

— Śledzia marynowanego, tak, ale żebym to ja wiedział, jak będzie: śledź marynowany? Niestety śledź pływał sobie poza „456 wyrazami po francusku”. Ale Kleofas wie przecież, że śniadanie znaczy: *déjeuner*. Rzuca to słowo, a kelner wymienia sto jeden potraw i przystawek. Kleofas spokojnie przytakuje. Bo i co może innego zrobić? On, paryżanin!

I bezustannie trzeszczą drzwi jego pokoju. Wymijają się w progu kuchcikowie, kelnerzy, pikkołaki, a zarządzający dyryguje. Stół do uczyty wzrasta obok łóżka Kleofasa: pasztet z gęziej wątróbki i homary. Cała, skomplikowana zoologia kulinarska. Udziec jeleni z Cumberland'em, kurczta, indyk. No i, oczywiście, odpowiednie do każdego dania wina i napoje.

Choooolerrrr... Kleofas nie może już słyszeć słowa: jeść, które się pisze: *manger*. A taki się zrobił straszny, że wnet strach wygnał służbę z jego pokoju.

*

Wydostał się wreszcie na wolność. Uciekł od środków żywności. Usiadł na brzegu jeziora i wbił przeraźliwie smętny wzrok w t. zw. dal.

Wreszcie dama, siedząca obok, rozpoczęła rozmowę. Kleofas parlował z nią świetnie. Co dwie minuty mówił słodko i z godnością:

— A — Oui, oui — madame.

Gdy kobietę się podniosła, uczynił to samo i towarzyszył jej.

Poszedł z nią do wspaniałych sklepów na główną ulicę, tarzał się w powodzi słów francuskich, promieniał, on, paryżanin, i mówił: Oui, oui i...

...Kiedy wrócił do hotelu zastał w kieszeni ruinę, a na stoliku rachunek.

*

Wierny swej zasadzie: Tylko po francusku, wyniósł się nawet dystyngowanie, po gallicku, lub raczej po angielsku. W Zurychu odetchnął. Będzie mówił wreszcie po niemiecku! I nie zwracał uwagi, że policja go szuka. Znaki szczególne: mówi tylko po francusku.

Policja go jednak nie znalazła. Nie użył już bowiem w życiu ani jednego francuskiego słowa.

przeł. J. R. G.

KRYTERJUM.



— Taka dobra, taka cierpliwa! Niech-no pani pomyśli! Dwadzieścia pięć lat czekała od ślubu zanim zastrzeliła swego męża!

(Rys. Bogisław, Paryż).

O istotnych powodach dymisji zgłoszonej przez
posła polskiego w Berlinie, min. Knolla



„Ein, zwei, dreil Ein, zwei, dreil To wszystko na palcach!
Ja nie wiem, co Niemcy znajdują w tych walcach...”

Druk ukończono 24 maja 1930 r.

Prenumerata kwartalnie 5 złotych, za granicą zł. 8

Redaktor przyjmuje w środy i piątki 1—2 pp.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Konto w P. K. O. Nr. 15.507

Redakcja i administracja — Biuro dzienników i ogłoszeń „Promień”, Widoł 19 tel. 234-84.

Red. i wyd. J. ZIMOSZ

Kłisze wykonane w Prasowej Agencji Reklamowo-Ilustracyjnej, Plac 3 Krzyży 18, tel. 225-85.

Druk. Współczesna, Warszawa, Szpitalna 10.